

KLĄTWA TUDORÓW

Polecamy także tej samej autorki

Cykl „Wojna Dwu Róż”:

Władczyni rzek

Biała królowa

Czerwona królowa

Córka Twórcy Królów

Biała księżniczka

Esej historyczny:

Kobiety Wojny Dwu Róż: księżna, królowa i królowa matka

„Cykl Tudorowski”:

Wieczna księżniczka

Kochanice króla

Dwie królowe

Błazen królowej

Kochanek dziewicy

Uwięziona królowa

Powieści historyczne z różnych okresów:

Czarownica

Żona oficera

„Saga Rodu Laceyów”:

Dziedzictwo

Dziecko szczęścia

Meridon

Powieść obyczajowa:

Dom cudzych marzeń

PHILIPPA GREGORY

Klątwa Tudorów



Przełożyła z angielskiego
Urszula Gardner



Książnica

Nasze książki kupisz na:

PUBLICAT.PL

Tytuł oryginału
The King's Curse

Koncepcja graficzna serii
© CHERLYNNE LI

Projekt okładki
MARIUSZ BANACHOWICZ

Fotografie na okładce
kobieta w stroju historycznym © RICHARD JENKINS
A portraiture of Henry VIII by the workshop of Hans Holbein the Younger
1497/1498 © ALAMY/BE&W

Redakcja
JUSTYNA STAWARZ

Korekta
IWONA WYRWISZ

Skład
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Copyright © 2014 by Philippa Gregory
First published by Touchstone, a Division of Simon & Schuster, Inc.
All rights reserved.

Polish edition © Publicat S.A. MMXV

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni. Jakikolwiek odniesienia do wydarzeń, miejsc i postaci historycznych mają charakter fikcyjny. Wszelkie podobieństwo do pozostałych osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.

ISBN 978-83-245-8183-2

Wydanie pierwsze



Książnica

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: ksiaznica@publicat.pl

PAŁAC WESTMINSTERSKI, LONDYN
29 LISTOPADA 1499 ROKU



W momencie przebudzenia przepełnia mnie niewinność, sumienie mam nieskażone jakimkolwiek występkiem. Owej pierwszej, półprzytomnej jeszcze chwili, kiedy dopiero otwieram oczy, nie towarzyszą mi żadne myśli — jestem tylko ciałem, młodym ciałem o gładkiej cerze i jędrnych mięśniach; jestem tylko dwudziestosześcioletnią niewiastą, powoli budzącą się do radości życia. Nie obciąża mnie świadomość nieśmiertelnej duszy, jej zaś nie obciąża grzech ani wina. Jestem wciąż tak rozkosznie, leniwie rozespana, że ledwie zdaję sobie sprawę z własnego imienia.

Rozchyliwszy niechętnie powieki, spostrzegam wpadające przez okiennice światło i uzmysławiam sobie, że to już późny ranek. Przeciągając się beztrako niczym budzący się z drzemki kot, przypominam sobie, że spać poszłam niezmiernie znużona, a tymczasem teraz czuję się wypoczęta i w pełni sił. Po czym zniemacka — jak gdyby rzeczywistość spadła mi na głowę na podobieństwo ciężkiej bulli lecącej z najwyższej półki — miłe uczucie opuszcza mnie tak szybko, jak się pojawiło. Prawda bowiem jest znacznie mniej przyjemna: oto nadszedł dzień, którego tak się obawiałam; dzień, w którym moje miano stanowić będzie nieprzeciętne brzemie. Nie da się ukryć, że jestem dziedziczką dynastii królewskiej, a mój brat — winny tego samego co ja — nie żyje.

W końcu mój wzrok pada na siedzącego na skraju łoża mężczyznę, odzianego w czerwoną aksamitną kamizelę i dublet, który czyni go przysadzistszym niż w istocie. Szeroką pierś przecina mu złoty łańcuch książęcego szambelana. Z wolna dociera do mnie, iż mój mąż czeka, aż się całkiem obudzę.

— Małgorzato? — pyta z obliczem ściągniętym troską.

— Tylko nic nie mów — wyrzucam z siebie, jak gdyby słowa mogły odwlec fakty. Następnie odwracam się i wtulam twarz w poduszkę.

— Odwagi — dodaje mój mąż tonem bezradności. I klepie mnie po ramieniu, jakbym była chorym szczeniakiem ogara. — Odwagi...

Nie śmiem wzdygnąć się pod jego dotykiem. Nie śmiem go urazić. Jest moim mężem, jest moją ostoją. Dał mi schronienie, ukrył me nazwisko pod swym własnym. Ja zaś zostałam odcięta od swojego tytułu równie skutecznie,

jakbym wraz z rodowym mianem straciła głowę, która potoczyła się do kosa wyłożonego słomą...

Wywodzę się z Plantagenetów i jestem z tego dumna, a przynajmniej byłam — do czasu, gdy jęło się to wiązać ze zbyt dużym ryzykiem. Niegdyś nosiłam swe nazwisko równie wysoko jak koronę. Niegdyś byłam Małgorzatą York z Plantagenetów, bratanicą dwóch królów Anglii: Edwarda IV i Ryszarda III, a córką trzeciego z braci, Jerzego księcia Clarence. Matka moja należała do najzamożniejszych niewiast w królestwie, mój dziad zaś był człowiekiem tak potężnym, że nadano mu przydomek Twórca Królów. Mego młodszego brata Edwarda król Ryszard wyznaczył na następcę tronu i oboje, Edward i ja, cieszyliśmy się miłością i wiernością połowy poddanych. Lud upatrywał w nas szlachetnych sierot po Warwicku, traktował nas jak dziatki wyrwane ze szponów losu i tej złej czarownicy, Białej Królowej. Wychowywaliśmy się na zamku w Middleham pod okiem samej królowej Anny i niczego, ale to niczego nam nie brakowało.

Wszelako kiedy król Ryszard zginął zabity na polu bitwy, z dnia na dzień przestaliśmy stać blisko tronu i zamieniliśmy się w pretendentów, w przeżytki dawnej dynastii dogorywające za panowania uzurpatora, który miał czelność sięgnąć po koronę naszego wuja. Co począć z książątkami po Yorku? Co począć z dziedzicami Warwicka? Tudorowie — matka i syn — mieli na to gotową odpowiedź. Zapadła decyzja, aby pozbyć się nas z dworu, strącić nas w niebyt historii, ukryć w pomroce małżeństwa. Dzięki temu obecnie nic mi nie grozi: stopniowo umniejszono me znaczenie, aż stałam się tak nieistotna, iż teraz mnie nawet nie widać spod nazwiska ubożego rycerza żyjącego w niewielkiej posiadłości środkowej Anglii, gdzie ziemia jest tania i gdzie nikt nie poderwie się do boju na obietnicę mojego uśmiechu na okrzyk „À Warwick!”.

Jestem lady Pole. Nie księżniczka, nie księżna, nawet nie hrabina, tylko żona skromnego rycerza, odłożona do lamusa jak stary herb upchnięty do zakurzonej komody. Małgorzata Pole, młoda żona Ryszarda Pole’a, znowu brzemienna, chociaż dałam mu już troje dzieci, w tym dwóch synów. Jeden zowie się Henryk, przypochlebnie po nowym monarsze Henryku VII, drugi zaś Artur — przymilnie po obecnym księciu Walii. Mamy też córkę Urszulę. Litościwie pozwolono mi nazwać dziewczynkę wedle własnego uznania, toteż nadałam jej imię po świętej, która wolała zginąć, aniżeli wyjść za pogańca i przybrać jego miano. Wątpię jednak, aby ktokolwiek dostrzegł ów gest mojej niepokory; prawdę mówiąc, mam szczerą nadzieję, że tak się nie stało.

Niestety mój młodszy brat nie mógł zmienić nazwiska w wyniku ślubu. Kimkolwiek by była jego żona, jakkolwiek niską pozycję by miała, nie mogłaby mu przekazać swego nazwiska, jak sir Ryszard uczynił w moim wypadku. Edward pozostałby hrabią Warwick, w dalszym ciągu reagowałby

na zawołanie „Edward Plantagenet” i wciąż byłby faktycznym dziedzicem angielskiej korony. W razie podniesienia jego sztandaru (a prędzej czy później ktoś by go podniósł) połowa Anglii stawiałaby się na wezwanie, idąc jak w ogień za powiewającym białym haftem, za białą różą. Tak nawet zaczęto o nim mówić: Biała Róża Anglii.

Skoro więc nie mogli Edwardowi odebrać rodowego miana, zabrali mu ziemie i majątko. Później pozbawili go także wolności, chowając przed światem niczym zbędną chorągiew, wtrącając do londyńskiej Tower pośród rzeszę zdrajców, dłużników i zwykłych głupców. Wszelako mój brat — pozbawiony sług, pozbawiony ziem, pozbawiony zamków, pozbawiony nawet ksiąg — nadal nosił swoje... nasze nazwisko. Nadal nosił swój tytuł, który odziedziczył po moim dziadzie. Nadal był hrabią Warwick, Białą Różą Anglii, dziedzicem dynastii Plantagenetów, żywą wymówką czynioną na każdym kroku Tudorom, którzy przejęli tron i objęli panowanie. Zamknęli go w lochu jako małego chłopca lat jedenastu i nie pokazali światu, póki nie ukończył dwudziestego czwartego roku życia. Przez trzynaście długich lat jego oczy nie widziały słońca, jego stopy nie czuły trawy. Wreszcie opuścił więzienie i być może poczuł woń mokrej ziemi sieczonej deszczem, być może usłyszał krzyki mew kołujących nad rzeką, być może uradował uszy dochodzącymi zza wysokich murów Tower śmiechami i wrzawą wolnych ludzi, wolnych Anglików, jego poddanych. Oflankowany przez strażę przeszedł przez most zwodzony i wkroczył na lekkie trawiaste wzniesienie, gdzie uklękłszy przed kłosem, złożył spokojnie głowę, jakby w swoim mniemaniu zasłużył na śmierć, jakby w głębi ducha był gotów na śmierć. A oni go ścięli.

Było to wczoraj. Zaledwie wczoraj. Deszcz padał przez cały dzień. Rozpętała się szaleńcza burza, jak gdyby nawet niebo protestowało przeciw takiemu okrucieństwu, płacząc rzewnie. Kiedy się o tym dowiedziałam, stojąc obok mej kuzynki królowej w jej pięknych nowych komnatach, zamknęłam okiennice, by odciąć się od światła na zewnątrz, by nie patrzeć dłużej na deszcz, który teraz na terenie Tower zmywał krew. Krew mego brata. Moją krew. Krew królewską...

— Wykrzesz z siebie choć odrobinę odwagi — szepcze ponownie mój mąż, wyrывая mnie z zamyślenia. — Myśl o dziecku. Postaraj się odsunąć od siebie strach.

— Nie czuję strachu — mówię, obracając się przez ramię. — Nie muszę niczego udawać. Nie mam się czego bać. Wiem, że przy tobie jestem bezpieczna.

Ryszard waha się. Woli mi nie przypominać, że najgorsze jeszcze nie minęło. Czyżby nawet jego niska pozycja nie była wystarczającą gwarancją bezpieczeństwa?

— Chodziło mi o to, abyś nie pokazywała po sobie żalu.

— Ale dlaczego? — pytam z dziecięcym zawodem. — Dlaczego miałyby nie okazywać żalu? Dlaczego nie miałabym pogrążyć się w żalobie? Mój

brat, mój jedyny brat, nie żyje! Został stracony jak pierwszy lepszy zdrajca, choć nie uczynił nic złego. Czemu nie mogę po nim płakać?

— Dlatego, że im się to nie spodoba — mówi wprost mój mąż.

PAŁAC WESTMINSTERSKI, LONDYN WIOSNA 1500 ROKU



Sama królowa zstępuje głównymi schodami ze swych komnat pałacowych, ażeby pożegnać nas przed opuszczeniem Westminsteru po zakończonych obchodach Bożego Narodzenia. Król wszakże trzyma się swoich apartamentów. Jego matka zapewnia wszystkich, że nic mu nie dolega, ot, nawiedziła go lekka gorączka, lecz już ją zmógł i teraz nabiera pełni sił w ciepłe kominka. Oczywiście nikt nie wierzy słowom królowej matki. Wszyscy są przekonani, iż Henryka nękają wyrzuty sumienia po straceniu mego niewinnego brata i pretendenta do tronu, okrzykniętego kłamcą i zdrajcą i rzekomym współpiskowcem Edwarda Plantageneta. Z cierpkim uśmiechem odnotowuję fakt, że zarówno królowa, jak i ja, któreśmy straciły młodszych braci, staramy się wywiązywać ze swoich obowiązków, może tylko z nieco bladymi licami i zaciśniętymi wargami, podczas gdy człowiek, który skazał obu młodzików na śmierć, chowa się w komnacie sypialnej, chory z poczucia winy. Elżbieta i ja, krew Plantagenetów, przywykłyśmy do ciągłych strat; można powiedzieć, że zdrada i cierpienie to nasz chleb powszedni. Tymczasem świeżo koronowany Henryk Tudor przyzwyczaił się do tego, że to inni toczą za niego bitwy i brudzą sobie ręce.

— Powodzenia — rzuca krótko Elżbieta. Po czym, gestem wskazując mój uwypuklający się brzuch, dodaje: — Na pewno nie chcesz zostać dłużej? Mogłabyś urodzić w pałacu. Miałabyś dobrą opiekę, no i składałabym ci wizyty. Zastanów się jeszcze, Małgorzato...

Kręcę odmownie głową. Wolę nie mówić królowej, że mam dosyć Londynu, dworu, rządów jej męża i apodyktycznej Małgorzaty Beaufort.

— Cóż, skoro tak — kwituje, rozumiejąc mnie bez słów. — Ale do Ludlow pojedziesz, jak tylko nabierzesz sił, prawda? Dołączysz do tamtejszego dworu?

Elżbieta pragnie mnie widzieć w odległym zamku, u boku swego syna Artura. Mój mąż został wyznaczony na opiekuna księcia Walii, a jej niesie pociechę myśl, że jestem z nimi.

— Udam się tam najprędzej jak się da — obiecuję. — Chyba jednak nie wątpisz, że sir Ryszard dokłada wszelkich starań nawet pod moją nieobecność. Traktuje następcę tronu, jakby ten był z czystego złota.

Z mojego małżonka jest dobry człowiek, nie przeczę. Królowa Matka nie wybrała dla mnie najgorszego kandydata. Ponieważ zależało jej tylko na tym, abym zniknęła z publicznego widoku, podsunęła mi mężczyznę skromnej pozycji — tymczasem okazało się, że Ryszard w zaciszu domowym dosłownie za mną szaleje! Udało jej się przy tym dobić korzystnego targu. W dzień naszego ślubu spotkała go zaiste śmieszna zapłata: dwie posiadłości ziemskie, dwa liche dworki i z lekka zrujnowany zamek! Naturalnie mógł zażądać znacznie więcej, ale dotychczas służył Tudorom za marne dziękuję, truchtając za nimi, nieprzerwanie przypominając, że jest po ich stronie, i kierując się wszędzie tam, gdzie skierował się ich sztandar. Do tego nigdy nie liczył kosztów ani nie zadawał pytań.

Już dawno zawierzył swój los Małgorzacie Beaufort, swej krewniaczce. Zdołała go przekonać — podobnie jak wielu przed nim — że jako sojuszniczka odwdzięczy się zawiązką, aczkolwiek jako wróg pozostanie groźna. I Ryszard, jeszcze jako młodzieniec, opowiedział się po jej stronie, odwołując się do łączących ich więzi rodzinnych i oddając pod jej opiekę. Odebrała od niego przysięgę na wierność Henrykowi Tudorowi, po czym patrzyła, jak w gronie innych sprzymierzeńców walczy o to, aby usadzić na tronie Anglii jej syna, i słuchała, jak wszyscy zwracają się do niej, używając tytułu, który sama dla siebie wymyśliła, mianowicie „Królowa Matka”. Aż do tej pory, pomimo niekwestionowanego tryumfu, Małgorzata Beaufort zwraca się o pomoc do swych bliższych i dalszych kuzynów, z przestachem myśląc o niespolegliwych przyjaciołach i niepewnych obcych.

Obrzucam dyskretnym spojrzeniem swą kuzynkę królową. Żadna z nas w niczym nie przypomina Tudorów. Elżbieta, wydana za Henryka Tudora, doczekała się koronacji dopiero po prawie dwóch latach, w czasie których sprawdzano jej lojalność i jej płodność, jakby była suką rozplodową, a nie księżniczką z urodzenia, i to wepchniętą do łożnicy niemal plebejusza! Ja zaś skończyłam jako żona przyrodniego kuzyna Królowej Matki. Obydwie, i Elżbieta, i ja, musiałyśmy wyprzeć się swego pochodzenia, swego dzieciństwa w pałacu, własnej przeszłości, a nawet własnego nazwiska; obydwie przybrałyśmy nazwisko naszych mężów i ślubowałyśmy im wierność — nie miałyśmy innego wyjścia. A mimo to Tudorowie nadal nam nie ufali i wątpię, aby kiedykolwiek mieli zaufać.

Moja kuzynka Elżbieta spogląda na swego syna, młodziutkiego księcia Artura, który czeka, aż stajenny przyprowadzi jego konia.

— Wołałabym, aby cała wasza trójka została tu, na miejscu — mówi.

— Książę musi wrócić do swej siedziby — przypominam jej. — Jest księciem Walii, winien być więc w Walii.

— Chodzi o to, że...

— W królestwie panuje spokój. Ferdynand i Izabela niebawem przyślą swoją córkę. Zanim się spostrzeżesz, będziemy z powrotem, w samą porę na wesele Artura. — Nie dodaję, że para królewska Hiszpanii zwlekała z wysłaniem do nas młodzietkiej infantki dopóty, dopóki żył mój brat. Wraz ze śmiercią Edwarda zniknął ostatni rywal do następstwa tronu Anglii: kobierzec ślubny hiszpańskiej infantki będzie równie czerwony jak jego krew. A mnie przyjdzie na niego wstąpić w ogonie tudorowskiego orszaku i na dodatek jeszcze się uśmiechać.

— Została rzucona klątwa — oświadcza nagle Elżbieta, stając bliżej i przytykając dłoń do mego ucha, tak że czuję na policzku ciepło jej oddechu. — Małgorzato, posłuchaj... Została rzucona klątwa. — Roztrzęsiona łapie mnie za dłoń.

— Jaka znowu klątwa?

— Klątwa mówiąca, że ktokolwiek wykradł moich braci z Tower, ktokolwiek ich uśmiercił, zapłaci za to własnym życiem.

W nagłym przestraszu odsuwam się od niej i dostrzegam bladeść jej twarzy.

— Kto ją rzucił? Kto odważył się powiedzieć coś takiego?

Cień winy, który przemyka po jej pobladłym obliczu, mówi mi wszystko: klątwę rzuciła jej matka, ta czarownica Elżbieta Woodville. Jestem pewna, że tylko ktoś taki, ktoś przejawiający mordercze skłonności, był w stanie rzucić równie zabójczą klątwę.

— Jak dokładnie brzmiały jej słowa?

Elżbieta bierze mnie pod ramię i pociąga w stronę ogrodów otaczających stajnie, następnie przeprowadza pod łukowatym przejściem, tak że w końcu znajdujemy się same w zacisznym zakątku, pod baldachimem bezlistnych gałęzi zwieszających się nad naszymi głowami.

— Nasze słowa — poprawia mnie. — To była nasza wspólna klątwa. Wypowiedziałyśmy je razem. Byłam wtedy bardzo młoda, ale powinnam była być mądrzejsza... A jednak jej wtórowałam! Zwracałyśmy się do rzeki, do boginki... no wiesz!... do tej boginki, która założyła nasz ród. Wyrecytowałyśmy unisono: „Nasz książę zginął, nim wkroczył w wiek męski, nim został ogłoszony królem Anglii, mimo iż narodził się po to, aby być mężczyzną i monarchą. Dlatego odbierz zbrodniarzowi jego dziecię, gdy wciąż będzie chłopięciem, zanim dostąpi zaszczytów i obejmie panowanie na swych włościach. A potem odbierz mu także wnuka, żebyśmy miały pewność, kto był winnym zbrodni pojmania bądź zabójstwa naszego Edwarda, żebyśmy wiedziały, że ta klątwa zadziałała, a straszny czyn został pomszczony”...

Wzdrygam się i owijam szczerzej podróżną peleryną, jak gdyby zniecacka w oświetlonym promieniami słońca ogrodzie zrobiło się zimno i mokro od potakującego tchnienia rzeki.

— Twoje usta wypowiedziały te słowa?

Elżbieta kiwa głową, wzrok mając poważny i przestraszony.

— No cóż, król Ryszard nie żyje, a przed nim odszedł z tego świata jego syn — rzucam śmiało. — Obydwoj umarli. A twoi bracia zniknęli, znajdując się pod pieczę naszego wuja. Jeśli naprawdę był winien, a wasza klątwa faktycznie zadziałała, wygląda na to, że stało się, co się miało stać, i linia Ryszarda Trzeciego wygasła na dobre.

Moja kuzynka tylko wzrusza ramionami. Ona również — jak każdy, kto znał Ryszarda Yorka — nawet przez moment nie podejrzewała go o zamordowanie książąt z Tower. Sam pomysł wydaje się żałośnie śmieszny. Ryszard był oddany najstarszemu bratu całym sercem, a za bratanków był gotów złożyć życie w ofierze. Owszem, nienawidził ich matki i zdobył dla siebie koronę, ale przynigdy nie skrzywdziłby żadnego z chłopców. Nawet Tudorowie ośmielają się ledwie sugerować coś podobnego, nawet oni nie mają tyle tupetu, aby oskarżać nieżyjącego człowieka o zbrodnię, której nie popełnił.

— Gdyby jednak chodziło o najjaśniejszego pana... — Świadoma wszechobecnych szpiegów mówię najcichszym szeptem, a stoimy tak blisko siebie, że postronnym może się zdawać, iż ściskamy się na pożegnanie, trzymając za ręce, zgola okryte jedną peleryną. — Gdyby to najjaśniejszy pan wydał rozkaz zabicia tych braci...

— On bądź jego matka — wtrąca Elżbieta równie cicho. — Jej mąż dysponował kluczami do Tower, a moi bracia stali na drodze do tronu jej synowi...

Drżymy obie i wzmacniamy uścisk dłoni, jak gdyby za naszymi plecami skradała się właśnie Królowa Matka chcąca podsłuchać, o czym rozmawiamy. Obydwoje trzęsiemy się ze strachu przed potęgą Małgorzaty Beaufort, matki Henryka Tudora.

— Dobrze, już dobrze — mamroczę, starając się okiełznać przerażenie, próbując ignorować drżenie naszych splecionych dłoni. — Ale Elżbieto... — dodaję nagle. — Jeżeli to rzeczywiście ona ma na sumieniu twych braci, klątwa spadnie na jej syna, twego obecnego męża, oraz na jego syna...

— Wiem... wiem... — pojękuje Elżbieta niemal bezgłośnie. — Właśnie tego się obawiam, odkąd sama pierwszy raz o tym pomyślałam. Co będzie, jeśli wnukiem mordercy jest mój rodzony syn, książę Artur? Mój chłopiec? Co będzie, jeśli przekęłam własne dziecko?

— Co będzie — podchwytyuję — jeśli przez klątwę nowa dynastia Tudorów rychło wygaśnie? Co będzie, jeśli zabraknie potomków płci męskiej, a jedyne, czego można się spodziewać, to jałowe niewiasty?

Stoimy bez ruchu niczym figury z lodu w zimowym ogrodzie. Nad naszymi głowami, w koronie drzewa, rozlega się przenikliwy, ostrzegawczy zew rudzika, po czym ptaszek zrywa się gwałtownie do lotu.

— Chron go, Małgorzato! — zaklina mnie kuzynka. — Chron Artura w Ludlow!